

# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— Poznań 10 sierpnia, 1888 r. —

Nr. 23.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycji, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolatomowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcja.

## WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

— Co za szkoda, że szwagier mój nie chce porzucić kawalerskiego stanu — ciągnie dalej Teresa z żywością. — Nie możecie sobie, panie, wystawić, ile starań dokładałam, aby to postanowienie zmienił, ale na próżno; co za świetne partye miałam dla niego: Małgorzatę de Lussignan, dziesiątą księżną Cesarini, cudownie piękną hrabiankę Maryę de Gallière, jednym słowem najbogatsze i najładniejsze — *tout ce qu'il y a de mieux*. Dziwnym sposobem, posiadając serca córek, miał i względy matek za sobą, ale to powodzenie wcale go nie zachęcało. Nie spotkałam jeszcze człowieka, mającego większy wstręt do małżeństwa od niego; czy słyszałyście, panie, o tym sławnym wykreście, za pomocą którego najnatrętniejszych matek pozbył się od razu?

— Tak jest — odpowiada Stella z ironicznym skrzywieniem koralowych ustek — mówiono, że baron Rohritz utracił cały swój majątek.

— Boski pomysł! — zaśmiała się Teresa. — Czy pani tego nie znajdujesz?

Pogardliwe milczenie jest jedyną odpowiedzią Stelli.

— On sam nie rozgłaszał przecież tej wiadomości, był tylko za wygodnym, aby jej zaprzeczać — przerywa jej mąż gniewnie. — Kto ciebie słyszy mówiącą, Tereso, może sądzić, że Edgar jest głupim zarozumiałcem, który swe życie przepędza na krzyżowaniu zamiarów matek i ich dorosłych córek, jakie względem niego mają. Ale mogą panią zapewnić, baronówno Stello, że zarozumiałość, ani błaga nie cechuje charakteru Edgara. Zresztą znasz go, pani, tyle, aby mieć o nim wyrobione własne swoje zdanie.

— Znam go bardzo powierzchownie — odpowiada Stella, wzruszając obojętnie ramionami.

— Sądziłem, że spędziłaś, pani, z nim razem kilka tygodni w gościnnym domu Leskjewitzów. I nawet tego lata, jeżeli się nie mylę — mówi — patrząc na nią zdziwiony.

Nie nie odpowiadając na powyższą uwagę, Stella zamyka wachlarz z wyzywającą trochę minką.

— Baron Rohritz zmienił jednak to wytrwałę postanowienie, bo niedawno temu odebrałam wiadomość z Gracu o jego zaręczynach z hrabianką Matyldą Strahlheim.

— Kto pani o tem donosił? — pyta Teresa zaciekawiona. — To mnie przecież najwięcej zajmować powinno; nie przypuszczałam podobnej hipokryzyi!

— Wiadomość tę mam od niejakiej panny Gurlichingen. . .

— Gurlichingen, Anastazy Gurlichingen? — pyta Rohritz ironicznie.

— Tak jest, czy znasz ją, baronic?

— Czy ją znam? Ktożby nie znał Stazyi Gurlichingen, najnieznośniejszego na kuli ziemskiej stworzenia! Kręci się po całym świecie, przyczepiona do jakiej bogatej przyjaciółki, która ponosi koszt utrzymania. Specjalnością jej było pielęgnować suchotnice, to też spotykano ją na tem praktykowaniu miłości bliźniego we wszystkich miastach południowych krajów. Szwagier mój, Cino, który, mówiąc nawiasem, cierpieć jej nie może, ochrzcił ją najrozmaitszymi nazwami, których nawet spamiętać nie mogłem. Ale, wracając do przedmiotu, to, jeżeli nie masz, pani, kompetentniejszego źródła od panny Gurlichingen, ośmielam się wątpić o autentyczności zaręczyn Edgara.

— Czy pani wiesz, baronówno, że Anastazyza chwilowo jest w Paryżu? — zwraca się Teresa do Stelli. — Nie wiem jednak, czyjego boku obecnie się trzyma?

— Bawi u księżnej Obłońskiej.

— U Obłońskiej! . . . przecież nie u tej dawniejszej Föhren? — woła małżeństwo zdziwione.

— U tej samej.

— To sławne — woła Teresa wśród śmiechu — u Obłońskiej! . . .

Na ożywionej rozmowie czas płynie szybko, artystyczny zegar, stojący na kominku, wydzwania dziesiątą. Dzieci, powiedziawszy grzecznie „dobra noc“, odeszły do swego pokoju, lokaj przed chwilą wniósł srebrną zastawę do herbaty. Po głośnym i szczerym wybuchu ogólnego śmiechu zapanowała przerwa w rozmowie; baron, korzystając z tego, dokłada drzewa na kominek i wesoly ogień rzuca fantastyczne cienie na złocone tapety pokoju. Drzwi otwierają się cicho i nie anonsując swego przybycia, *sans gêne*, jaką tylko najbliższe pokrewieństwo dać może, wchodzi

młody, trzydziestoletni mężczyzna z porwijającym na ustach uśmiechem i czarownym dużych ciemnych oczu wejrzeniem. Żywy obraz belwederskiego Apollina, książę Cino Capito, bożek paryżskich salonów, w wytwornym, wieczorowym ubiorze, we fraku od Poola, z szapoklakiem w rękę i świeżą gardenią w dziurce od guzika, ma kilka zmarszczek około oczu, świadczących o bezsennych nocach i kilka siwych włosów nad skroniami.

— Proszę mnie przedstawić — mówi, zwracając się do baronowej, po przywitaniu ze siostrą i ze Stellą.

— Więc moje nową gwiazdę już znałeś? — woła Teresa zdziwiona, spełniwszy jego życzenie.

Książę przygląda się Stelli sobie tylko właściwym wejrzeniem, w którym podziwienie równa się prawie z zachwalością, nie przekraczając jednak zakreślonej granicy.

— Czy myślisz, Sasa, odpowiada z uśmiechem, (będąc w dobrym humorze, nazywa siostrę tem mianem, jakie sobie, jako dwuletnia dziewczynka, zdrabniając własne imię, nadała) — czy myślisz, że ma zej byłbym Lyon opuścił, polegając jedynie na entuzjastycznym opisie, jakiś mi o ostatniej twojej *trouvaille* skreśliła? *Non, ma petite soeur*, znam bujną twoją wyobraźnię, więc te opisy czytam zawsze z pewnym, usprawiedliwionem niedowierzaniem. Jak widzisz, znam panią, a nawet miałem to szczęście być dłuższy czas w jej towarzystwie — kończy w poprawnym francuzkim języku.

— Gdzie? kiedy? — pyta Teresa niecierpliwie.

— Przed trzema laty w Wenecyi. Baron Meineck mieszkał równocześnie ze mną w tym samym hotelu i panna Stella przybyła pielęgnować ojca. To były smutne chwile dla pani, nieprawdaż? — dodaje serdecznym, poważnym tonem, jakiego, sądząc z jego powierzchności, przypuszczać by nie można.

— A jednak te smutne chwile są przyjemnem dla mnie wspomnieniem — odpowiada Stella, odwracając głowę, ażeby ukryć łzy.

— W każdym razie możesz pani mieć to przekonanie, żeś sumiennie spełniła obowiązek — mówi dalej serdecznie — nie widziałem córki, któraby... Nagle przerywa sobie, dostrzegając surowe spojrzenie pułkownikowej Meineck, zwrócone w jego stronę. Poznawszy drażliwość sytuacji, kończy niezrozumiale rozpoczęte zdanie, starając się roznowić inny nadać obrót. Ale przypomnienie, że mąż jej w czasie swej ciężkiej choroby bez jej starań i opieki obywać się musiał, jest dla pani Meineck nadzwyczaj bolesnem... Bez głębszego znaczenia słowa młodego księcia wydają jej się ciężkim wyrzutem.

— Czybyś pan nie był łaskaw kazać sprowadzić dla nas powozu? — zwraca się z prośbą do Rohritza.

Wszystkie prośby i namowy do wypicia jeszcze jednej szklanki herbaty nie mogą jej do pozostania nakłonić. Tomaczy się nadmiarem umysłowego zajęcia, któremu swe ranne godziny poświęcać zwykła. Przy pożegnaniu książę Capito, chcąc wszelkimi sposobami ułagodzić baronową, prosi ją o pozwolenie złożenia jej swego uszanowania.

— O! proszę, nie fatyguj się pan napróżno, bo mnie w domu nigdy zastać nie można — odpowiada oschle, wychodząc w towarzystwie pana domu z salonu.

Młody książę z komicznym grymasem na pięknej twarzy pokręca z niezadowolaniem wąsa.

— Jakiego baka strześliłeś, Cino? — pyta go szwagier po powrocie do fumoaru, poczem książę na pół gniewnie, na pół ze śmiechem wyklada mu swój brak taktu i zawikłane rodzinne stosunki Meinecków. — Właściwie nie wiem, dla czego Edgar tak nas ostrożnie o oryginalności baronowej uprzedził — ciągnie Rohritz zamyślony — że męża swoją uczonością o utratę zmysłów przypawiła, jest rzeczą możliwą, ale jej wzięcie jest nadzwyczaj przyjemne. A jakaż to piękna jeszcze pomimo pewnego wieku osoba, swojego czasu musiała jeszcze piękniejszą być od córki.

— Tak sądzisz? — mówi Teresa. — Podług mnie Stella jest zachwycająca.

— *Elle est tout bêtement adorable* — odzywa się Cino, popijając wolno herbatę z oryginalnej, japońskiej filiżanki, którą mu siostra przed chwilą podała. — Wiesz, Sasa, że takiej smacznej herbaty, jak u ciebie, nie ma w całym Paryżu.

— Twoja dzisiajsza uprzejmość wydaje mi się mocno podejrzana — odpowiada Teresa — powiedz lepiej od razu, czego właściwie chcesz ode mnie?

— Zaprosz mnie kiedy z Meineckami na obiad, prosi ją Cino z czarującym, jakby nieśmiałym uśmiechem.

— Nie, tego nie zrobię, odpowiada krótko

— Dla czego nie?

— Dla tego, że chcesz, jak widzę, bałannuć Stellę. Wstydz się, myślałam, że podobne głupstwa już ci się nie trzymają

— Hm! mruknął Cino, wzruszając ramionami.

— A ja postanowiłam sobie wydać ją dobrze za mąż, objaśnia go Teresa.

— Hm! odpowiada znowu, ale innym tonem.

— Ale jeżeli sobie życzysz, to cię zaproszę na obiad razem ze Stazją von Gurlichingen, która obecnie mieszka w Paryżu.

— Tak... a u kogo chwilowo bawi, jeżeli zapytać wolno?

— U... Teresa spogląda mu w oczy z szyderskim na ustach uśmiechem, u księżnej Obłońskiej!

— Ach! Czy księżna cierpi na suchoty? pyta zupełnie obojętnie.

— Nic o tem nie wiem — ale potrzebowała przypożyczenia parawanu, więc przyjęła Stazją.

— *Ah! tiens, cela doit être drôle!* Więc i Stazja zmieniła system w wyborze przyjaciółek, odpowiada Cino, wstając z kanapy i stawiając próżną filiżankę na stole.

— Czy już odchodzisz?

— Naturalnie, mówi, wyciągając się i ziewając głośno, czego sobie tylko bardzo rozpieszczeni braciszkwowie w obecności siostr pozwalają. Jeżeli myślicie, że opuściłem Lyon dla wypicia z wami filiżanki herbaty, to w takim razie gruba zachodzi pomyłka. *Syons gentille*, Sasa, *voyons*, kiedyż otrzymani razem z Meineckami twoje zaproszenie?

Teresa, poruszając wątkim, wskazującym palcem w prawą i lewą stronę, robi mu rzymski znak przeczenia.

— *Eh! bien, comme il te plaira*, mruknął Cino z niezadowolaniem. Do widzenia.

— Gdziebym ją mógł spotkać? pyta się zamyślony, zapalając cygare i wsiadając do czekającego nań powozu.

— Dziwna rzecz! odzywa się tymczasem Rohritz do żony. Edgar opisywał nam Stellę, jako nadzwyczaj wesołą i dowcipną osobkę.

— Tak jest, w rzeczy samej, potwierdza Teresa.

— A mnieby się przeciwnie zdawało, że jest jakąś przygnębioną i nad wiek poważną.

— Coż chcesz, nawet woskowa figura dostałaby czarnej melancholii przy tem monotonnem, prawie klasztorzem życiu, jakie biedna Stella prowadzi.

— Rohritz zamyśla się głęboko. Czy sobie przypadkiem Edgarem nie zawróciła głowy? odzywa się z pewnem ożywieniem.

— Na czem zasadzasz twoje przypuszczenie? pyta Teresa zdziwiona.

— Uważałem, że ile razy o nim była mowa, Stella najmożliwiej obojętną przybierała minę.

Teresa wybuchła głośnym, szczerym śmiechem.

— Z czego się śmiejesz? zapytuje Rohritz gniewnie.

— Daruj, ale przypominasz mi pewnego Francuza, który, starając się o pannę, na zapytanie matki, czy jest pewnym wzajemności jej córki, odparł bez wahania: „Zapewne, a poznaję po tem, że wychodzi zawsze z pokoju w chwili, kiedy ja tam wchodzę.“

— Śmieć się, jeżeli chcesz, zobaczymy, kto będzie miał słusność, Zresztą i ona Edgara obchodzić musi, bo bo inaczej nie polecałby jej tak gorąco.

— Ba, polecił nam ją na prośbę waszego wspólnego przyjaciela, Leskjewitza, odpowiada pani domu.

— Zapewne, ale....

— Proszę cię, przecież to jeszcze dziecko w porównaniu do niego; Edgar mógłby być jej ojcem!

— Prawda, że ona jeszcze dziecko, odpowiada Rohritz po chwili namysłu; zresztą on jest za rozsądny na to.

## ROZDZIAŁ XXV.

Powołując się na znajomość z Morińskim, otrzymuje Stella obniżenie ceny lekcji śpiewu w instytucie della Seggiola.

„Zniżona cena“ wynosi jeszcze zawsze dwadzieścia pięć franków za najmożliwiej ukróconą godzinę i sześćdziesiąt franków miesięcznie za branie udziału w ustnych wykładach, jakich *signor* della Seggiola, trzy razy tygodniowo swym sześcioletniemu, czy siedmiu uczniom i uczennicom w małym lokalu fabryki fortepianów Gerarda udziela osobiście.

Protekcya Morińskiego ma jednak pewne znaczenie, bo każdy ze zwykłych śmiertelników opłaca trzydziestu, lub trzydziestu pięciu frankami prywatną lekcją della Seggioli.

Stella z kwestyą pieniężną zwraca się do żony *maestra*, bo della Seggiola, artysta i idealista w całym znaczeniu tego wyrazu, gardzi wszelkimi finansowymi sprawami. Widocznie chce mieć to złudzenie, że lekcji udziela bezpłatnie, ale też z drugiej strony nie zadaje sobie najmniejszego trudu, by objaśniać swoich uczniów tak dostatecznie, jakby tego po wygórowanej cenie wymagać należało.

Stella, znając nauczycieli śpiewu wszystkich prawie narodowości, wie z doświadczenia, że jeden gani drugiego, wymyślając na metodę swego poprzednika. Każdy, do którego się udała, oznajmiał jej z tragicznym ruchem głowy, że musi zacząć od początku, to jest od *soffeggiów* *Concena*, i następnie utrzymywał, że niezbędnem jest kupienie dziełka, traktującego o śpiewie, którego każdy z nich był autorem. Stella posiada już pięć obszernych wydań o *bel canto* — *l'art lyrique* i *l'art du chant*, a w każdym z małą zmianą powtarza się to samo. Niektóre z tych wydań opatrzone są własnoręcznym podpisem autora, inne litografowanym portretem, lub krytyką sławnej jakiej osobistości np. Rossiniego.

Dzieło della Seggioli odróżnia się trochę od wyżej wspomnianych wydań. Nieopatrzone portretem autora, ani przedmową słynnej jakiej osobistości, ma na pierwszej stronicznej profil rozciągnięty na pół człowieka. Rysunek ten świadczy pochlebnie o anatomicznych zdolnościach autora, jak również i o fizycznych warunkach, które na tworzenie i siłę głosu jakikolwiek wpływ mają.

Madame della Seggiola utrzymując, że praca męża nie jest zwykłym zbiorem *soffeggiów* tylko raczej rodzajem biblii dla amatorów dobrego śpiewu, nie miała zupełnej niesłuszności. Kilka niedostatecznych, z innych dzieł pozapżyczanych przykładów tworzy bardzo niedostateczną całość, w której pomimo chęci ani jednego rozsądnego zdania odnaleźć nie można.

Przy prywatnej lekcji, która naturalnie w domu *maestra* się odbywa, akompaniuje zwykle długowłosa młodzieniec, niedłys Strakoszowi w podrózach towarzyszący, przy wspólnym śpiewie panna Furwesen, której artystyczna do południowej Afryki podróż z powodu braku *impressaria* do skutku przyjść nie może.

Della Seggiola nigdy nie dotyka klawiszy; jest to sobie niski, otyły Medyolańczyk, z dużą, wiecznym uśmiechem opromienioną twarzą i czarną aksamitną czapeczką na siewiejącej głowie.

Pomimo, że posiadał bardzo niedostateczne uzdolnienie, liczył się dłuższy czas do najpierwszych i najdystyngowańszych artystów; obecnie czas sławy minął, a nauka jego z niewielką dla uczni wypada korzyścią.

Tygodniowe wykłady della Seggioli różnią się od prywatnych lekcji tem, że są traktowane trochę poważniej i że wszelkie starania na znizenie ceny zadnego nie wierają skutku. Oprócz pewnego protegowanego żony *maestra* każdy uczestniczący płaci sześćdziesiąt franków miesięcznie i jak w omnibusie tak i tutaj, czy kilka czy kilkadziesiąt osób kupuje bilety, cena pozostaje ta sama.

Uczniowie della Seggioli przypominają najzupełniej omnibusowych pasażerów; całość jest mniej, niż elegancka, a kilku odróżniającym się postaciami zarzucićby można, że się z podobnym towarzystwem połączyć dały. „Biblia“ della Seggioli jest naturalnie dla wszystkich wyrocnią, chociaż trudno osądzić, czy zasady jej na wiele się przydać mogą; od chwili wstąpienia Stelli do tego artystycznego grona śpiewają jeszcze ten sam kawałek, z tą chyba różnicą, że głosy są z każdym dniem słabsze, fałszywsze.

Della Seggiola, sam niebiorący nigdy w śpiewie udziału, zabrania swym uczniom surowo wydania swobodnego, głośnego tonu, nakazując, o ile możności, ścisnąć gardło, co oprócz przykrego wysilenia szkodliwe na dźwięk głosu ma wpływ.

Dzięki tej sztucznej nauce, świeży i pełny głosik Stelli traci swe przymioty z dniem każdym. Zaniepokojona zwraca się z tem spostrzeżeniem do *maestra*, który tę zmianę uważa za bardzo pożądaną, oświadczając, że właśnie główną wadą jej śpiewu było, iż za wiele posiadała głosu i dopiero, kiedy go zupełnie utraci, będzie można na dobre naukę *bel canto* rozpocząć, a o pomyślnym skutku wątpić niepodobna.

Pomimo tych perswazyi Stella nie czuje się wcale uspokojoną. Najrozmaitsze myśli przychodzą jej do głowy; kiedy, stojąc w małym saloniku hotelowym przy fortepianie, przed półściem na wspólną lekcją Seggioli, przy zycznej piosence kilka fałszywych wyrzuciła tonów.

— Della Seggiola powinienby być zadowolony z moich postępów, myśli z goryczą. W tej chwili to samo, już po raz setny może powtarzane pytanie wraca jej na usta, a serce gwałtownie bije. — A gdybym głos zupełnie utracić miała?... ale coż mi pomoże myśleć o tem, odpowiada samej sobie, wzruszając niechętnie ramionami. Zegar, stojący na kominku, wydzwania dziesiątą i Stella, wyrwana z przykrego zamyslenia, ubiera się szybko w podniszczony, ale jeszcze ładny, futrem obsyty paletocik, który od ojca przed sześciu laty na gwiazdkę dostała.

— Coż mi pomoże myśleć o tem, powtarza sobie z goryczą, spiesząc przez szerokie i wązkie, mniej lub więcej ożywione ulice, na które styczniowe słońce ukośnie rzuca promienie.

„Sala“ w fabryce fortepianów Gerarda, służąca za miejsce zebrania podczas tygodniowych wykładów Seggioli, jest tylko długim i wązkim pokojem, którego ściany są zastawione fortepianami, opakowanymi słomą i płótnem; nietylko więc, że się obrócić swobodnie przychodzi z trudnością, ale i akustyka wiele pozostawia do życzenia. — Przy wejściu Stelli, lekcya już się była rozpoczęła; panna Furwesen w swym ozdobnym płaszczyku siedzi przy fortepianie, a obok niej z jedną ręką wspartą na „biblii“, drugą gestykulując w powietrzu — della Seggiola. Z prawej strony *maestra*, z rękoma założonemi na piersiach, stoi młody jeszcze mężczyzna z niewielkim zarostem na twarzy i łysiną na głowie, oczekujący ze złe ukrytą niecierpliwością chwili, w której jemu zaśpiewać przyjdzie. Młodzieniec nazywa się Meyer (wymawiaj Meyceer) i jest sekretarzem bankowym, mającym zamiar wystąpić na scenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## KORRESPONDENCA „DOMU POLSKIEGO.”

## Zpoza kordonu.

Sprawozdawcy z ruchu społecznego muszą sobie teraz głowę smażyć nad artykułkami, bo zaprawdę nie ma o czem pisać. W miastach pustka, a wieś skłopotana. Do zwyczajnych trosk ziemiańskich przybyła jedna jeszcze nadzwyczajna. Oto żniwa rozpoczęły się na dobre, a z nieba kapie i kapie na żżęte snopy. Ciężka to sprawa dla rolników i nieuspasabiająca do wesołości, a mimo to w wiejskich dworach rozlega się śmiech pusty częściej, niż w ciągu roku, bo to czas wakacji. Młodzież szkolna, używając swobody w całej pełni, sprawia ruch wszędzie; kaczkę dzikie i różne inne ptactwo, płoszone strzałami, żyje w strachu, rybki w wodach nie mają pokoju, taki szum od wiosł po fali, a i wędkę zdradnie czyhają na ich zgubę. Bronowłoki, przystrojone w czapraki i siodła, muszą hasać pod niecierpliwymi jeźdźcami, a śmiechy i gwary rozlegają się wokoło. Bogdaj to młodość!

Gdyby zbiorowego organizmu ludzkości nie odświeżała wciąż fala młodych pokoleń, cożyby się z nią stało! Ludziska stetryczeliby i zapomnieliby się śmiać!... młodzi potrafią rozruszać nawet starszych:

„Święć się. święć się, wieku młody!”

Zresztą w świecie cisza. Dzienniki zjałowały do szczytu — nawet osobiste utarczki pisarzy ucichły. W braku sensoryjnych nowin na ziemi literaci zajmują się fenomenalnymi zjawiskami na innych planetach. Coż się stało nadzwyczajnego tam w górze? Oto na Marsie nastąpiła tak straszna powódź, iż całą krainę, zwaną „Lybia,” zatopiła. Widocznie jest to jeden z owych potopów, które niegdyś trapiły naszą ziemię. Co się stało z mieszkańcami Lybii, czyli Libijczykami? Może ukryli się na szczytach gór, a może jak Noe w arce pływa. Zima minioną miała być na owym planecie tak niepogodna i śnieżna, że astronomowie żadnych spostrzeżeń przez cały jej przeciąg czynić nie mogli. Więc nie tylko my mieliśmy niezwykle śnieżną zimę, a zjawiska atmosferyczne może od jakichś wszechświatowych prądów zależą, a nie są wywołane li tylko miejscowymi przyczynami. Oto pole do nowych hipotez.

Ale my tu w lipcu także miewaliśmy niebawale ulewy, tu i owdzie chmury się oberwały, a osuszone cokolwiek w maju i w czerwcu stawy, jeziora przepełniły się wodami.

I tak klimat stoi dziś „kością w gardle” wszystkim.

W kraju naszym powiał nagle prąd emigracyjny, trapiący od dawna zabor pruski. Nasamprzód żydzi zaczęli opuszczać miasteczka; wydało się to rzeczą naturalną, bo przepełnienie zazwyczaj wywołuje wylew; że miasteczka nasze są przepełnione żywiołem żydowskim, temu nikt nie zaprzeczy. Objaw ten przyjęty został nawet z pewną radością serc, ale wkrótce rzemieślnicy polscy i lud rolniczy zaczęli odpływać za morza. Prawdopodobnie agenci zachodni rozszerzyli swą działalność poza kordon, bo że się tu kręca, dostarczają tak zwanych „szifkart,” udzielają objaśnień, nie szczędzą słów zachęty — to nie ulega wątpliwości.

Listy emigrantów zachęcają krewnych i znajomych do podobnej wędrówki. Bądź co bądź, w Ameryce jeszcze o zarobek drogopłatny nietrudno, a nasz lud, niepopsuty wielkością płacy za pracę, wpada w podziw, usłyszawszy o dziesięciu talarach płacy na miesiąc dla zwykłego parobka obok jedzenia, o którym się wędrowcy wyrażają tak: „wy tego w niedzielę nie jadacie, co my tu jemy w piątek.” Jeśli się skarżą na cośkolwiek, to tylko na tęsknotę za krajem, za swoimi.

Daremnie pisma ludowe chcą przerazić umysły sensoryjnymi opowieściami o nędzy, spotykającej emigrantów w Ameryce, gdy rzeczywistość przeczy temu. Zresztą dzie-

liny los całej Europy, dostarczającej wychodźców nowemu światu, gdyby naprawdę nędza czekała przybyszów, czyżby wychodźstwo utrzymywało się tak długo, tak powszechnie?

Jeden rys odróżnia mocno Polaków z Królestwa od Poznańczyków; tym rysem jest pochoćność do pióra. Kiedy „Dom polski” zaprasza wciąż w gościnne progi swe korespondentów i współpracowników, a mimo usiłowań licznej gromadki zebrać nie może, jeden z tygodników warszawskich ogłosił, że za opłatą dwóch kopiejek od wiersza, wypłacaną przez pisarzy, będzie drukował przesłane artykuły zwyczajnych śmiertelników pragnących wypowiedzieć swe myśli i sądy o rzeczach publicznie i znalazł mnóstwo kandydatów, a pismo ożywiło się niezmiernie! Ktoś rozpiął się o Ochrowiczu i jego metodzie, inny wypowiedział, co mu na sercu leżało, o dzisiejszych prądach filozoficznych i o ideałach społecznych. Ktoś inny ujmował się za chłopcami cukierniczymi, którzy nie znają niedzieli, świąt i t. d.

Jest to objaw bardzo pomyślny, świadczy bowiem, że ludzie myślą, że zajmują się życiem społecznym, nie zamykając się wyłącznie w ciasnych granicach spraw osobistych.

Pismem, które wpadło na ów szczęśliwy pomysł, jest „Tygodnik powszechny.”

Bezmyślność i lenistwo duchowe zgubiły nas i gubią dziś jeszcze. Chrońmy się tych przywar, jako głównych sprawców naszych nieszczęść.

W ostatnich czasach posłyszeliśmy o sprzedaży na kolonie niemieckie jednego z ładniejszych majątków, zostającego od 400 lat w tej samej rodzinie. Porażeni tą wieścią — na zapytanie, jaka przyczyna przywiodła właściciela do takiej okropnej konieczności, usłyszeliśmy odpowiedź krótką: „gra w karty!”

Czyż to nie jest szczytem bezmyślności?

Nieszczęście rośnie i rośnie w olbrzymią górę, a my oswajamy się już z niem, przywykamy do sromu, jaki spada z beznadziejności naszej na cały naród. Czyż to nie jest bezmyślnością bez granic?...

Najważniejszą sprawą jest obecnie jakiszkolwiek ruch „Banku ziemskiego” w Poznaniu. Ale czy przebudził się on, „aby westchnąć i wnet znowu usnieć?” — Panowie! pamiętajcie, że tu nie chodzi o „marzącą o szczęściu narzeczoną” — ale o matkę, leżącą na śmiertelnej pościeli!

Wiele można było w Wielkopolsce zdziałać przy dobrej woli, przy energii i solidarności narodu, a dotąd nic się nie zdziało!... Smutną to kartę zapisują dzieje obecne!...

Korespondent z Poznania do gazety „Wiek” pisał niedawno tak: „możemy wraz z ewangelicznym paralitykiem, leżącym nad sadzawką Siloe, powiedzieć: dotąd nie znaleźliśmy człowieka, któryby nas uratował. Czyż zjawi się Chrystus?”... Gdyby bank był dawał niejakie oznaki życia, niejedni w nadziei ratunku, byłiby się trzymali jeszcze przy ziemi, ale gdy wszystkie promyki nadziei gasną, robi się w duszach ciemno... a w ciemnościach jakże łatwo zbłądzić!...

Panowie, pomyjcie, że potemność wasza sądzić was będzie!

A. M.

## Ze wsi, 30 lipca.

Coż tu pisać ze wsi w miesiącu lipcu? Pogoda od kilku dni dosyć sprzyja, prace żniwne chyżo postępują, panowie gospodarze sprzątają plony całorocznych trudów, roztrzaskują korzyści, rozglądają się po horyzoncie niebieskim i wedle rezultatów własnych spostrzeżeń nastroją swój szanowny humorek; studenci wyciągają zeszytniałe i zasiedziałe członki, kłusują na dzielnych rumakach, lub, zarzuciwszy strzelby przez ramie, podchodzą zrywające się klapiaki. A coż porabiają tak zwane „konsolacje rodzinieckie?” zapytają może Łaskawe Czytelniczki, czy pod-

# WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ulożył

hrabia Wawrzyniec Benzelskjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Rozliczne dochodziły wieści — rozszerzały gawędy, obwiniano starca o wiarołomstwo — o zdradę; mówiono nawet, że można to jakieś książe zamiast okupu, wyprawą spłynię orężną. Stawiono przed sądem branki o cudownem licu i anielskiej postawie.

Przeświadczeni, że stary ojciec na łup zostawił dziewczętą, aby się sam uwolnić i nie pomyśli już nawet o wygórowanym okupie — postanowili zbójcy samowolnie rozrządzić losem osierociałych.

Ujęci niewymownym czarem i wyjątkową pięknnością dziewczek — zapragnęli przywłaszczyć je sobie. Młodzież wystąpiła w szranki, dobijając się o ich rękę, ale krasawice ze wzgardą i dumą odepchnęły tych wielbicieli natrętnych, na śmierć i męki raczej gotowe. Daremnie o cierpliwość błagały, powrót ojca, lub kogoś z rodziny z niezachwianą wiarą zapowiadając. Nie pomogły zaklęcia, ni przysięgi. Mistrz rozgniewany uporem i wzgardą, z jaką obrażono jego mołojców, obmyślił sposób przełamania tej dumy. Zapadł więc wreszcie nieodzowny już wyrok, że skoro tak wierzą w rycerskie słowo ojcowskie i zapewniają powrót rodzica, z kolei nań będą na szczycie wieży o głodzie oczekiwały — aby jedna po drugiej, w dalekie patrząc się morze, miały czas do namysłu męża wybierać w drużynie, albo-li głodną śmiercią umierać. Zamknięto na szczycie baszty *Karine*. Odosobniona najstarsza długie tam przepędziła tygodnie, modląc się i płacząc samotnie, a kiedy tęskną pieśń zanuciła, wtorowały jej siostry zdaleka. Czem żyła, nie wiadomo, nikt jej tam nie donosił żywności i baszta była zamknięta.

Wedle sagi — na baszcie *Karinę* wieńcem otaczały mewy, jakoby wieści z morza przynosząc i żywiąc biedną w niewoli. Zbójcy nie rozumieli cudu, a słysząc pieśń i modlitwę codzienną, o czary pomawiali *Karinę*, a gdy nie było końca, upartą a niedającą się umorzyć dziewczkę na łódź zabrawszy, w szerokie morze rzucili.

Po nieszcześliwej *Karinie* nastąpiła *Maja* i zamknięta na wieży przesiedziała znów kilka tygodni. Żywiły ją mewy, białym otaczając wieńcem — znów w morze wywieziono dziewczkę, a na jej miejscu najmłodszą osadzono *Beatę*, która, jak białe ptaszę, rozpaczliwie ojca na wierchu wieży oczekiwała. I tej już wreszcie nie stało. Trzy czarownice w morskiej spłynęły topieli — a na pustym zrębie wieżycy milczące trzy mewy siadły — trzy duchy białe — na ojca z dali czekając.

Daleko! daleko! by ptaszę wodne, na niebieskiem morzu ukazał się żagiel biały, spiesząc na *gotlandzkie* brzegi.

ważniejszej, ogół obchodzącej sprawie, o wszystkim, co nam wszystkim razem i każdemu z osobna na sercu leży.

Sz. bezimienną „Wielkopolankę“ zaś prosimy serdecznie, aby nas jak najwcześniej znów świeżym obdarzyła listem, ale już nie bezimiennym, bo — jakżeśmy to już wielokrotnie oświadczały — anonimów z zasady nie zamieszczamy; redakcyja musi znać swych korespondentów, których imiona przecież — w razie zastrzeżenia — w ścisłej zachowuje tajemnicy. Niech sobie Łaskawa Pani przeczyta w dzisiejszym numerze „Domu“ cenną wielce dla redakcyi naszej uwagę sz. korespondentki zpoza kordonu, dotyczącą smutnych u nas stosunków literackich, a może będzie to tem silniejszym dla Pani motorem do nadsyłania nam częściej „Listów ze wsi“, i może w ślad „Wielkopolanki“ pójda inne Jej siostrzyce, a „Dom polski“ ożywi się i zdobędzie sobie z większą liczbą piszących jednocześnie poważniejszą liczbę czytających. (P. R.)

czas pory, w której, począwszy od otaczającej nas w całej pełni rozkwitu, cudnej przyrody, wszystko zdaje się używać swoich sił żywotnych, nasze młode panienki zawsze tylko niezmordowanie paluszkami przebierają po fortepianie, wyspiewują tryle, dla zmiany książkę przerzucają, a o zmroku powłóczytym krokiem rozkoszują się zapachem róż, tajemniczym szmerem drzew, świegotem ptasząt i widokiem zachodzącego słońca?

Otoż w odpowiedzi na te pytania zachodzi pewna trudność; nie wiem, czy mnie przecucie nie myli, szepce mi jednak, że społeczeństwo nasze ma niefortunne, choć może w części uzasadnione mniemanie o tych młodych osobach, uważając je tylko za eleganckie, ale bezużyteczne mebelki, a co gorsza, otacza je pewną złe zrozumianą, uprzejmą obojętnością! Darujcie mi, Szanowne Panie i poważni Panowie, ale w tem dużo też winy Waszej — czemuż w kole rodzinnem, w liczniejszych zebraniach towarzyskich, nawet i w odczwach nie wymagacie więcej od nich?.. nie wykluczajcie młodych tych umysłów i sił z Waszego poważnego grona, zaufajcie im, a wnet otrząsną się z tej pozornej apatyi, obudzi się w nich chęć działania choć w najciaśniejszym obrębie ich wiejskiego zacisza, i przyniosą wam hojną ręką, co tylko gorące serce polskie dać umie i może! Sam miesiąc lipiec nastęrcza naszym młodym paniom całe pasma miłych zatrudnień, na których czczie stawiam zajęcie się biedną dziatwą poznańską, którą Szan. redaktor „Dziennika pozn.“ tak gorliwie każdego roku podczas wakacyi wysłał na wiejskie, świeże powietrze. Nie przeczę, że nie jest łatwym zadaniem opiekować się obcami dziećmi różnych usposobień i różnego wychowania, są to jednak skrupuły i obawy, którym z najspokojniejszym sumieniem zadosyć uczynić można, a śmiem to twierdzić z własnego doświadczenia. Otoczmy tę naszą biedną, polską dziatwę od pierwszej chwili przyjęcia ją w dom serdecznością, a dla uniknięcia małych niegrzeczności i nieposłuszeństwa, wynikających najczęściej z bezczynności, obmyślny im pewien stały plan łatwych i swobodnych zajęć, których wiejskie gospodarstwo i ogród tyle chwilowo dostarczają, okazujmy im trochę troskliwości, życzliwości, rozmawiając z nimi o ich rodzicach, rodzeństwie, a odpłacą się nam szczerem sercem, prawdziwem dziecięcym przywiązaniem. Nagrodą będzie nam nadto radość ich wesolych, zdrowych twarzyczek i to najwyższe szczęście na ziemi, płynące z poczucia spełnienia obowiązku! — A coż tu dopiero wspominać o tej rozkoszy wewnętrznej, której doznamy, gdy poświęcimy im codziennie małą godzinkę na naukę zaniedbanego w szkołach języka ojczystego! Wspomnienie użyteczne i mile spędzonych wakacyi na wsi towarzyszy tej poczciwej naszej dziatwie na szkolnych ławach przez cały, długi rok!... do zeszytów, polskim tekstem zapisanych, zaglądają jak do zakazanych, największych skarbów swoich, a zasiane w ich małych serduszkach szlachetne uczucia zdolają obalić i zniweczyć niejedne późniejsze złe i szkodliwe wpływy. To też w roku przyszłym nie dozwólci, wielkopolskie panienki, aby staropolska gościnność, która po wszystkie czasy cnotą naszą być powinna, zasłużyła na najmniejszy zarzut, że dla jakiejś osobistej wygody nie chcemy, czy nie umiemy ugościć biednej naszej dziatwy! Zapewne nietrudno zrazu będzie wyprosić u Waszych matek rozporządzenie jednym pokoikiem przez cztery tygodnie wielkich wakacyi, a doznacie bez wątpienia wiele chwil miłych i tego błęgiego uczucia, jakiego doznaje się zawsze po spełnieniu miłosiernego uczynku względem bliźniego.

**Wielkopolanka.\*)**

\*) Powyższą korespondencyą — jakkolwiek nieco spóźnioną i bezimiennie nam nadesłaną — wyjątkowo zamieszczamy, ponieważ traktuje o przedmiocie, który w ostatnim czasie zajmował żywo wszystkie na dolę ubogiej polskiej dziatwy nieoobojętne serca i umysły, a dalej ponieważ jest to dotychczas pierwszy głos, pierwszy list z prowincyi, nadesłany „Domowi polskiemu“, któryby tak chętnie w każdym numerze zamieszczał podobne listy naszych Wielkopolanek, traktujące o jakiejś

I w jednej chwili na spokojnem morzu trzy srebrne zaszumiły fale — a po sonej spiesząc topieli, okrążyły okręt, łagodnie nim kołysząc.

I w jednej chwili trzy białe mewy z ponurej uleciały wieżycy — zatrzepotały skrzydłami, a okrążywszy ją lotnym wieńcem, w stronę kołysanego uleciały okrętu. Przybywał stary ojciec, trędami i przeszkodami podróży złamany, z bijącym sercem o los swych dzieci się dopytując. A u nóg starca — tam na okręcie — trzy białe się ułożyły ptaszyny, nie odstępując i towarzysząc mu do Gotlandyi brzegu.

Stanął przed miastem i wylądował niespodziewany już rycerz, z okupem do mistrza niespokojnie się dobijając.

Przyjęto gościa-rycerza obliczem ponurem, a że nie było możności rozprawić się z nim inaczej — ani się wyrzec okupu — postanowiono korzystać z łupów. Zabrano skarby i oświadczone nieszczęśliwemu, że jego dziewczki zastawne, którym nie dotrzymał zobowiązania, za krnąbrność i czary zasłużoną już odebrały karę — że je z niewoli puszczone wolne na morze — a wiarołomca w podziemiach dokończyć może żywota. W rozpaczy ojciec, przekląwszy zamek na wieczne czasy, odprowadzony został w podziemia, gdzie wylupiono mu oczy i śmiercią zamarł głodową.

Trzy białe mewy nie odstąpiły zamku i z wieków w wieki trzy duchy białe na straży ojcowego grobowca na wieży stoją, a lud powtarza to w dobrej wierze, i powiadają rybacy, że dopóki choć jedna z zamku pozostanie cegiełka,

Białe mewy na niej siedą  
I pilnować grobu będą,  
A gdy ruiny te zaginą,  
To ptaszyny w górę spłyną  
I gwiazdami na błękitcie  
Świecić będą w niebios szczycie,  
Te cudowne trzy siostrzyce,  
Trzy dziewczęta — krasawice!

## II.

Wysby, ta stara stannica morska, która w żałobnej szacie ruiny o dawno minionej przeszłości marzy i w starych wieżyc historycznym dyademie klejnoty przechowuje wspomnienia — bogactwem legend i sagi gminnej, marzeniem i wspomnieniami z wieków nas w wieki prowadząc, zajmującym jest dla myślącego wędrowca widzeniem. Sen to na jawie i fantastyczne nad błękitnego Bałtyku wybrzeżem marzenie, któremu wtorują srebrzystej fali rozkołysane organy morza!

Takich legend i poetycznych obrazów sagi, których zacytowałem kilka, z bogatej skarbnicy fantazyi ludowej pojedyncze perełki wydobywając, jest tu bez liku, a jedne piękniejsze i oryginalniejsze od drugih, przemawiają do serca i wyobraźni, bo każda z tych sag i legend rzeczywistym jest poematem! Każdy tu niemal zakątek — sterząca w górę wieżycy — każdy zrab muru — świątynia pańska w ruinie — niedołalone starego zamku mury-upiory-prastare gmachy miejskie, zapadłe w ziemię krużganki i echem odzywające się z głębi korytarze i krypty podziemne — wszystko to wieńcem sagi ubrane i harmonią fantazyi rozkołysane, śpiewa nam pieśń przeszłości, jaka widzeniem się tu unosi nad tą kamiennych gruzów mogiłą, która milcząca przed nami stoi, otoczona zielenią i gwarem dzisiejszego życia i ruchu odrodzonej stolicy Gotlandu.

Dawne dziedzińy starego zamczyska, które tam w lotnych ptaszyn koronie pod fantastyczną strażą trzech duchów dziewiczych krwawe widma przeszłości przypominają, równie jak czasu tego dawno ubiegłe lata zmienione są dzisiaj do niepoznania. Dziś miejsce to, otaczające ten zrab zamkowy, jest ogrodem obszernym, „p a l i s a d a m i“ zwanym i przestronną plantacją morwową, punktem zbornym i ulubionym miejscem spaceru zebranych gości kąpielowych, którzy tu licznie z Szwecyi i Finlandyi zjeżdżają, odosobnioną wyspę zaludniając corocznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# LISTY

Narcyzy Żmichowskiej do Bibianny Moraczewskiej.

24 kwietnia 1864.

## VII.

Zapewne już Ci Tekla doniosła, że nas tutaj niespodzianie na pare dni odwiedziła, — szkoda, gdyby trochę pierwej, toby jej się Warszawa świetniej zaprezentowała — lecz nieszczęściem trafiła po przegranej bitwie — tylko bitwie, moja Bianeczko, wojna jeszcze nierozstrzygnięta i nieskończona. Przez cały czas pobytu, od poniedziałku do środy wieczorem, ani razu nie posprzeczałyśmy się z sobą, tylko ona się zachmurzyła na mnie za to, że jej zdarłam illuzye co do Pana Andrzeja, do komitetu, w którym Kurc zasiada i do studentów, którzy się nie chcą uczyć, więc z przyjemnością rolę manifestarzy ulicznych odgrywają; wymawiała nam, czemu tego w gazetach nie piszemy, a to jest właśnie zakulisowy sekret, człowiek radby go sam przed sobą w ziemi zakopał. Co do mnie, ja się znów podąsałam na Teklę za to, że mię koniecznie leczyć chciała — obmyśliła tu dla mnie ze cztery wielkie, różno gatunkowe kuracje, a z piętnaście paliatywów, skończyło się na tem, że mi nawet jakieś proszki u panny Ludwiki zostawiła i to mię ledwo do rozpaczy nie przyprowadziło, a dowiedziłam się w chwili pożegnania, chwila stracona, kiedy ja właśnie od niepamiętnego czasu niczyjemu przyjazdowi tak się nie ucieszyłam, jak właśnie przyjazdowi Tekli i dawno już „nie czułam,“ że tak kogoś kocham, jak ją teraz kochałam. — No, jeszcze rzecz do wynagrodzenia, mamy się przecież spotkać w maju na pielgrzymce częstochowskiej — a w maju i Bianeczka obiecała przyjechać, gdyby to!... Rozpisałam się o różnych moich osobistych interesach — mnie zaś tę okazją dla tego jedynie dostarczono, żeby na twoje ręce innym ludziom coś donieść, wyraźnie tedy żywić się groszem publicznym, brzydka rzecz, mogłabym wprowadzić ilością zapisanego papieru nadużycie moje wynagrodzić, lecz mi konieczność pospiechu zapowiedziano — tem jedynie uspokajam własne sumienie, że nie ma znowu tak wiele do powiedzenia. Teroryzm i teroryzm — Gorczaków próżno wydatka do żołnierstwa odezwę, „że już dosyć dowodów męztwa złożyli, że ich naczelstwo znajet szto oni heroe“ nie nie pomaga, co dzień słyhać o jakim zegarku porwanym, lub pugilaresie wyciągniętym — zegarek po rosyjsku nazywa się traur (żałoba) — a pugilares w języku oficerskim rewolwer. Pan sfinxowy Wielopolski, od którego na złe czy na dobre wielkich rozumnych rzeczy oczekiwano, coś między Wallenrodem a Cavurem, (wyobraźnia tak lubi przez mikroskop patrzeć) Wielopolski spadł w znaczeniu na rolę zamkowego policyanta! Myśleliśmy, że przynajmniej wszelką repressyjną szarpaninę Gorczakowi i jego żołdatom zostawi, ukaz jego o śpiewach kościelnych i z tej go odarł powagi. Kto się o takie drobnostki z kobietami i studentami klócić zaczyna, ten nie wysoko, choćby w zbrodni, nie wysoko urosnie. Po zakazie we wszystkich kościołach śpiewano; „Boże, coś Polskę,“ i teraz codziennie śpiewają, albo kilku malców w tłum się rozsypie, albo kilka kobiet wyjdzie naprzód, klęknie przed ołtarzem i pierwszą zwrotkę zaintonuje; z każdym wierszem coraz więcej głosów się łączy. „Przed Twe ołtarze“ już wszystkie razem z płaczem, jękiem głośno krzyczą, i chwytając tu przestępców. Nietylko Warszawę i miasteczka chcą w tych rewolucjach śpiewanych powstrzymać, do Lublina aż kilka armat posłano, nie wiem, co posła do Rawy. Rawa destytuowała swego burmistrza, który ją okradał, Tierbacha, trzeba ci wiedzieć, że ten, co zdradził Karola lewita także się Tierbachem nazywał, czy on właśnie? W ogóle miejska ludność całego kraju nic nie ma sobie do wyrzucenia,

w Łodzi tylko Niemcy wytłomaczyli sobie, że to jest doskonała do rabunku pora i coś dramatycznego odegrali, nie dopytywałam jednak o bliższe szczegóły. Dzisiaj dla nas chłopcy są najważniejszą kwestią, loterya nierozegrana, komu wielki los padnie, czy djabłu, czy Panu Bogu. Z jednej okolicy ktoś przyjedzie: „Ha! źle, słyhać, buntują się odmawiają pańszczyzny.“ Z drugiej okolicy kto inny się zjawi: „Jak to można lud nasz święty, lud nasz pocziwy o chęć do takiej narodowej zbrodni posądzać!..“ jeszcze znów w innych stronach, gdzie były nieporozumienia, zgoda następuje. Pan Adam Roztworowski z Tykocina, gdzie pomnik Czarneckiego stoi, jak mu się chłopci burzyć zaczęli, tak daleko uciekł, że aż się podobno w Dreźnie oparł, imi przecież na jego nie scu sprawę załatwili bez pomocy wojska i wiem, że już do niego sami właścianie deputacją wyprawiali, żeby tylko wracał spokojnie. Trzeba przyznać, że obywateli, jak na obywateli, pocziwie się sprawiają. Uchwalili pomiędzy sobą, aby pod żadnym pozorem siły wojskowej przy zatargach z chłopami nie używać, że to Moskałom do gustu nie przypada, więc gdzie usłyszą o jakich niesnaskach, sami zaraz wpadają i śledztwo ciągną, tak zrobili panu Wężykowi z Podlaskiego. Pan Wężyk zaprosił ich na śniadanie, uroczyście zaprzeczył wszelkim buntom i z kwitkiem wszystkich odprawił. Służba, przytomna rozmowom, przeniosła je do kuchni, z kuchni doszły na wieś i chłopcy sami się stawili, prosząc o zgodę. Stanisławowi Zamojskiemu w Maciejowicach także wymówili pańszczyznę, on ich prosił, żeby za najem przychodzili i tak też się stało, w ogóle jedni gorliwiej, drudzy opieszalej, wszyscy jednak trzymają się w tej sprawie i spieszą z uwłaszczeniem i odrzucają pokusę kozackiej pomocy, tylko w dobrach magnatów, za granicą bawiących, najgorzej. Opinogóra Zyg. Krasińskiego wypowiedziała posłuszeństwo i w żadne układy nie chce wchodzić, wszystkiego od rządu czekając; pono już opiekun P. Ludwik przyjechał. Do Międzyrzycy pani Augustowej Potockiej kilka dni temu oddział wojska z Białej wysłano. Pan Frankowski z Chliwek zaprosił także przeciw swoim obce bagnety i knuty, zresztą nie słyszałam, żeby się więcej tego rodzaju zbrodniarzy znalazło, może jest wielu skrycie wdychających, lecz opinia na wodzy trzyma.

Postscriptum. Wszyscy prawie kulami ranni czy po domach, czy po szpitalach umierają, lud jest przekonany, że kule były zatrute, a tymczasem były stożkowate, tylko legendy wzbierają, są tacy, co pod przysięgą twierdzą i w d. 8 t. m. widzieli Matkę Boską w krwawej szacie nad miastem płaczącą. Jeden znów dziad chodzi po wsiach i rozpowiada, że go Matka Boska w nocy za palec ścisnęła, a rzeczywiście ma serdeczny palec zbiełały, potem kazała mu iść między chłopów i grozić, że „dopiero im da, jeśli na pierwsze zawołanie panów z kosami przeciw Moskałom nie staną; no pewno bieda im będzie.“ Takie historie większe robią wrażenie, niż najpocziwiej przedstawiana prawda. Ach! ci ludzie! ci ludzie, co tu sobie obiecywać, kiedy im do dobrego nawet kłamstwa jeszcze trzeba.

## KRYTYCZNY POGLĄD

### na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 22.)

Śledząc od dwudziestu przeszło lat bezustannie i dochodząc wartości owych licznych, powyżej tylko w części

wspomnianych \*) „zastępców pokarmu matki,“ zawsze mieliśmy na uwadze wyszukanie takiego sztucznego wyrobu, który obok pożywienia, w danym razie mógłby służyć i za środek leczniczy dla niemowląt i dzieci. W zadaniu tem i konieczności jego rozwiązania utwierdziły mnie następnie jeszcze słowa prof. Soltmanna (które raz już przytoczyliśmy zob. Nr. 1 strona 8.) „Kto dzieci chce leczyć, ten przede wszystkim musi umieć je żywić. Pożywienie jest przeważnie i środkiem leczniczym dla dzieci, a środki lecznicze pożywieniem i t. d.“

Z prawdziwym zadowoleniem i radością udało nam się w roku bieżącym wykryć taką pożywkę sztuczną, w ocenionej tak korzystnie przez chemików różnych narodowości i zapraszająco przedstawionej przez nich mące chemika Neavego. Mąka ta czyli raczej polewka z niej zgotowana, jak to następnie przedstawimy, niezwykle oddała mi usługi obok środków aptecznych w leczeniu cierpień przewodu pokarmowego i choleryny niemowląt i dzieci, jak zwykle, i w roku bieżącym na większe rozmiary w miesiącach letnich tu panujących\*\*.)

Mąka Neavego, w stanie surowym na język nasypiana, daje smak bardzo miły, przyjemny, a szybko i łatwo przy pomocy śliny się rozpuszcza. Ugotowana i odpowiednio doprawiona, nie tylko niemowlętom i dzieciom, które ją bardzo chętnie przyjmują (i to nawet wtenczas, gdy wszystko inne jest im wstrętnem!) służyć może za miłe i łatwo strawne pożywienie, ale nawet i wybrednych rekonwalescentów i osoby starsze, osłabione zadowolić powinna.

Gotowanie odpowiednie tej mąki gra tu, zdaniem naszym, bardzo ważną rolę. Chemicy, a nawet i prof. Frenzenius, pomimo, iż rzecz tę wyraźnie uwzględnili, czas gotowania jej za krótko przecież oznaczają. Polewka z tej mąki nie nabiera jeszcze po sześciu minutach gotowania owego prawdziwie miłego smaku, jaki sobie zdobywa po 1/4 godzinnem pozostawianiu na wolnym ogniu, wśród prawie bezustannego mieszania. Żyłka stołowa mąki, w trzech łyżkach zimnej wody dokładnie rozczyniona, w garnuszku gotującej się wody (około 200,0 gramów zawierającym), gotowana przez kwadrans, daje po dołaniu pewnej ilości mleka i dodatku soli kuchennej bardzo smaczną polewkę, którą starsze niemowlęta i dzieci, ulegające cierpieniom przewodu pokarmowego, chętnie przyjmują i lepiej trawią od klejków z kaszy jęczmiennej i perłowej, nawet z wielką troskliwością przyrządzaanych.

Jeśli polewka ta służyć ma dla dzieci zresztą zdrowych, tylko osłabionych, lub dla rekonwalescentów za pożywienie, natenczas gotować ją można (po rozczynieniu w trzech łyżkach zimnej wody) w samym mleku i następnie osłodzić, lub osolić, odpowiednio do woli i przyzwyczajenia konsumentów.

Podczas ząbkowania, przy skłonności do rozwolnień i nieznośności czystego mleka, pokarmu matki, lub żywicelki, polewka ta z korzyścią użytą być także może. I nadal, w odstępach wolnych od wyrzynania się ząbków, podawać ją polecamy niemowlętom obok rosółków, mięsa skrobanego, sucharków itd. przez czas pewien.

Polewka Neavego, na mleku zgotowana, zwłaszcza z dodatkiem soli i cukru, obok bułki, lub chleba, służyć winna przez lat kilka nawet i dzieciom starszym za zdrowe pożywienie rano i wieczorem, zawiera bowiem lekko

\*) Istnieją jeszcze rozliczne inne wyroby: Savory et Moore food for infants and invalids, Giffey's lacteous farina, Maizena, Zealenta, Horlick's food, Imperial Granum, Fougery's nährendes Nahrungsmittel, Parmentier's Nährpulver, Hartenstein's et Comp. Leguminosepulver (Protea-Mehl), Revalentia arabica, Timpeo Kraftgruss, Dr. N. Geber's-Mehl.

\*\*) Celem ułatwienia rozpowszechnienia tego wyrobu na Niemcy, Austrya, Węgry, Polskę, Holandya, Belgia itd. otworzył J. R. Neave et Comp., skład główny w Hamburgu i powierzył kierownictwo jego p. W. O. Knoop. (Hamburg. Bei St. Annen N. 5. p.)

strawne białkany, trochę mniej tłuszczu, więcej węglanów i prawie tyle soli, co ów pierwowzór pożywienia, pokarm matki.

Nim zakończymy nasz pogląd krytyczny na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci, w świat daleki wysłane, uważamy sobie za obowiązek wspomnieć jeszcze o kilku wyrobach, w postaci sucharków w handlu się pojawiających, które przecież przeważnie lecznicze mają tylko cele na oku — i dopiero u dzieci starszych, zwłaszcza słabowitych, do krzywicy (rachitis) t. n. angielskiej choroby skłonnych, żółzowatych (skrofulicznych) tylko użytemi być mogą.

Występują tu do walki wyroby piekarza H. O. Opel z Lipska, fabrykanta Gericke z Potsdamu, H. Schmidta (t. n. Arrow-Root Kinderzwiebacke), Karola Petzolt (Stolberg am Harz), Carne pura Biscuits, przez Stutzerą w Bonn polecane i inne.

Dr. Baginsky ceni wyroby Opla i Gerickego bardzo wysoko i poleca użycie ich u niemowląt starszych — pierwszy rok życia kończących.

I nam oddawały sucharki Opla z Lipska, (których sposób wyrabiania osobiście w piekarni jego w roku zeszłym zbadać mieliśmy sposobność) — w wspomnianych powyżej cierpieniach dzieci bardzo dobre usługi, i stanowią wyrób smaczny, pożywny, trwałe — a nawet stosunkowo tani.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Wiadomości naukowe, artystyczne i rozmaiteści.

**Najnowszem** odkryciem na polu elektryczności jest tak zwany *telektroskop*. Czem dla słuchu jest telefon, przenoszący dźwięki i głosy w odległe przestrzenie, ten odtąd dla wzroku będzie telektroskop, przenoszący za pomocą tej potężnej i cudownej siły, zwanej elektrycznością, równie w dalekie przestrzenie miłe nam i pożądane obrazy.

Wprawdzie już aparat, zwany teleskopem, pozwalał wzrokowi ziemskiemu dalekie odbywać wędrówki, ale tylko w prostym kierunku i gdy w tej prostej linii żadna nieprzezroczysta nie stawała mu przeszkodą, tymczasem telektroskop znosi wszelkie przeszkody i przyjmuje każdy kierunek. I tak np. za jego pomocą można będzie widzieć o wiele mil oddaloną od nas osobę, z którą jednocześnie rozmawiać możemy przez telefon. Aparat, w mowie będący, nie stoi jeszcze obecnie na najwyższym stopniu udoskonalenia, ale spodziewać się można, iż w niedalekiej przyszłości zachodzące przy nim niedokładności usunięte zostaną.

Właściwym wynalazcą telektroskopu jest Keri z Bostonu, który już r. 1880 odkrył sposób przesłania promieni światła za pomocą elektryczności. Wynalazek ten przyjęto wówczas z pewnem niezufaniem i niedowierzaniem, jednakże go opatentowano; dopiero przed kilku miesiącami, gdy się ukazał fofon Bella, przesłający dźwięki za pośrednictwem promieni światła, zwrócono baczniejszą uwagę na aparat Keriego. W ostatnich czasach telektroskop Keriego — jakkolwiek nie może jeszcze zadowolić wszelkich wymagań — został znacznie udoskonalonym przez firmę Nipków w Berlinie.

W „salonie“ warszawskim zwraca obecnie powszechną uwagę najnowsze płótno pana Alexandra Gierymskiego: „Żydzi modlący się nad Wisłą

w święto Trąbek.“ Ma to być dzieło znakomite w swoim rodzaju, zachwycające znawców i miłośników sztuki plastyką, realizmem, prawdą w każdym szczególe i wspaniałym kolorytem. Przedstawiona jest chwila po zachodzie słońca w wieczor letni, pogodny. Na Wiśle stoją ładowne berlinki, tratwy i łodzie; na piaszczystym brzegu zieleni się trochę murawy, widać grupę drzew, ubogie domki, w głębi stoki cytadeli i most żelazny z dymiącą lokomotywą. Przy ognisku stoi kilku flisaków, na brzegu około dwudziestu żydów brodatych, obdartych, w czapkach, niektórzy z nich, zwróceniu ku wschodowi, modlą się gorąco. W dali widnieje gromadka kobiet. Obraz p. Gierymskiego wywołał w kilku czasopismach warszawskich krytyczną polemikę, mianowicie w „Kuryerze codziennym“ między Bolesławem Prusem a Julianem Maszyńskim. W „Bluszczu“ Maryan Gawalewicz obszerniejszą zrobił o nim wzmiankę.

**W izbach parlamentu** belgijskiego przedmiotem żywych rozpraw był w ostatnim czasie *hypnotyzm i magentyzm*. Rzeczą podjęła akademія lekarska, której członek, dr. Maison, oświadczył, że wszelkie doświadczenia, tak hypnotyczne, jako i magnetyczne powinny być zakazane. Natomiast dr. Lefebvre zaznaczył, że jakkolwiek studia i doświadczenia w tym przedmiocie są nieraz dla zdrowia publicznego bardzo niebezpieczne, mają przecież wysoką wartość dla nauki i stąd zupełnie zaniechać ich niepodobna, tylko rząd winien rozstrzygnąć nad nimi opiekę i czuwać, aby się nie stały narzędziem wyzyskiwania łatwowiernych przez niepowołanych kuglarzy i szarlatanów.

**Najobfitszą** w szlachetnych ofiarodawców częścią Polski jest Kongresówka. Jedno z pism warszawskich donosi, że zmarły Oktawiusz Hilchen przeznaczył w testamencie 40,000 rubli na budowę gmachu „Towarzystwa sztuk pięknych“, 5000 rub. na instytucyę moralnie zaniebanych dzieci w Warszawie, 3000 rub. na kościół w Bielsku, 2000 rub. na kościół w Wilnie, nadto pozostawił mniejsze na cele dobroczynne legaty.

**Niemieckie** dzienniki oceniają prywatny majątek serbskiej królowej Natalii, na 1½ do 3 milionów rub., nie licząc w to dóbr ziemskich w Besarabii. Zarząd nad całym swym majątkiem powierzyła królowa Natalii pewnemu dyrektorowi pierwszorzędnego banku w Wiedniu, w którym odbywa konferencye przy każdej swej bytności w stolicy Austrii. Królowa ma być znakomitą ekonomistką.

**Wyznaczono** podobno nowe rozpatrzenie sprawy względem unieważnienia aktu sprzedaży Zakopanego Goldfingerowi. Pretendentem do kupna ma być tym razem znany z ofiarności, a bawiący właśnie w Zakopanem p. Jerzmanowski z Ameryki.



## Promyki.

Walcz o własnej sile,  
Wyczerp cuda woli,  
I czekaj — choć boli —  
Czas leczy ran tyle!  
Deotyma.

Chwała i miłość!... równe w zachwycie,  
Ta z wieńcem, tanta z gwiazdą na skroni;  
Miłość i chwała!... Czemuż przez życie  
Tak rzadko idą dłoń w dłoń?...  
Czemu? — Niebiosą są zazdrośnemi!...  
Ktoby, zawiądzszy królestwem losów,  
Miłość i chwałę posiadał na ziemi,  
Byłby za blizkim niebiosów.  
Deotyma.



TREŚĆ: Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi). — Korespondencya „Domu polskiego“ a) Zpoza kordonu. A. M.; b) Ze wsi. Wielkopolańska. — Wyspa Gotland. Obrazek z podróży ułożył hr. Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström. (C. d. n.) — Listy Narcyzy Zmichowskiej do Bibiany Moraczewskiej. VII. — Krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci, napisał Dr. Józef Koszutski. (C. d. n.) — Wiadomości naukowe, artystyczne i rozmaiteści. — Promyki.